
OSTATNI FRONT W JORDANOWIE

Na stryszku * Obrazy i rzeźby * Front ruszył * Konwój jeńców

Pociąg włókł się niemiłosiernie. Nie wiedzieliśmy przez jakie stacje przejeżdżamy, gdyż wagon nie miał żadnych okienek. Mieliśmy sporo miejsca, wygodne legowiska, ale nic do roboty, więc spaliliśmy wszyscy jak najwięcej. W pewnym momencie pobudziliśmy się, ponieważ od dłuższego już czasu ustał miarowy stukot kół i nastąpiła całkowita cisza. Otwarliśmy wrota wagonu. Było więcej torów kolejowych, czyli staliśmy na jakiejś stacji, lecz nie było widać żadnych świateł. Skoro świt mama i nasza była sąsiadka wybrały się na rekonesans.

Wróciły po niedługim czasie, oświadczając, że wysiadamy, gdyż jesteśmy już w Jordanowie, w podgórskiej miejscowości na południe od Krakowa. Z mgły porannej wylaniały się, z obu stron torów, kontury zielonego, soczystego lasu, zaś nieco dalej niepozorny budynek stacyjny, jakiś nieduży tartak i nic więcej. Było świeże, rześkie powietrze. Wyładowaliśmy się szybko i sprawnie na pobocze.

I znów panie poszły gdzieś w stronę miasteczka. Czekaliśmy wiele godzin na ich powrót, w międzyczasie nic się nie działo i nikt się nami nie interesował. Gdy wróciły, zarządziły przeniesienie wszystkich naszych rzeczy do nieodległej leśniczówki, samotnie sterczącej między polami i lasami. Bagaże przenieśliśmy na raty, urządzając po drodze przystanki dla odpoczynku, bo było pod górkę i mocno się natrudziliśmy. W leśniczówce zamieszkiwało już kilka rodzin, które wcześniej skądś przyjechały, podobnie jak my. Było bardzo ciasno, spaliliśmy w nocy pokotem, głowa przy głowie.

Jednak już na drugi dzień przeprowadziliśmy się do miasta na stałą kwaterę. Znowu trzeba było taszczyć nasze bagaże. Znaczna część tych prac tragarских należała do mnie. Byłem zdrowy, silny, wytrzymały na wszelkie trudy i wykonywałem ochoczo wszystkie polecenia rodziców. Zamieszkaliśmy w trójkę w parterowej, drewnianej przybudówce przy nieczynnej, zdewastowanej, starej garbarni. Przybudówka, z dwuspadowym dachem pokrytym dachówką oraz z małą piwniczką, miała cztery pomieszczenia mieszkalne. Dwie izby od strony podwórka zajęte były, od dłuższego już czasu, przez młode małżeństwo z jednoroczną córeczką.

Nasze lokum wymagało trochę drobnych reperacji, posprzątania i wyszorowania drewnianych podłóg. Z wszystkim tym uwinęliśmy się w krótkim czasie, rozłożyliśmy nasze rzeczy i znów mieliśmy gdzie mieszkać. Wtedy dołączyła do nas, przybyła wcześniej do Jordanowa, moja siostra. Pracowała i mieszkała przez kilka tygodni w firmie budowlanej w nieodległej Chabówce.

Za to wyjechał ojciec z powrotem do Monasterzysk, gdyż zobowiązywał go do tego rozkaz AK, miał tam bowiem swe organizacyjne obowiązki. Drugim powodem powrotu była oczywista chęć pilnowania domu i ziemi.

Mama, zaraz po przyjeździe, zameldowała swój pobyt w odpowiednim urzędzie w Jordanowie. Ja nie meldowałem się, przez wiele miesięcy musiałem się potem ukrywać w nowym miejscu zamieszkania. Oczywiście powód był bardzo prozaiczny. Wielka Rzesza powoływała do swojego „niezwycięzonego” Wehrmachtu coraz młodsze oraz zupełnie już stare roczniki swych aryjskich obywateli. Więc coraz bardziej brakowało w Niemczech rąk do pracy. To też, dobrowolnie, bądź przymusem, ściągano ze wszystkich podbitych państw tzw. siłę roboczą do prac w rolnictwie i przemyśle niemieckim. Ja,

przy swoich prawie 18. latach, nadawałem się już, jak najbardziej, na taką siłę roboczą.

Domek, w którym mieszkaliśmy, stał samotnie w zakolu serpentyny szosy, wychodzącej z miasteczka w kierunku zachodnim. Tuż obok znajdował się głęboki, zadrzewiony jar, którym płynął mały potok. Z drugiej strony było trochę starych drzew i pola uprawne. Do pierwszej zabudowanej uliczki i centrum miasta, to jest dużego, zadbane-go Rynku, było od naszej garbarni raptem ok. 400 metrów.

Mama prowadziła dom, gotowała posiłki, szyła, pomagała też naszej sąsiadce w wykańczaniu fartuszków, jakie ona szyła na sprzedaż. Siostra zaś wykonywała śliczne swetry z kolorowej włóczki. Przez pewien czas pracowała również jako opiekunka do dziecka przy pewnej rodzinie. W ten sposób zarabiała pieniądze, potrzebne nam na chleb i inne podstawowe produkty.

Ja codziennie rano udawam się wózkiem do gospodarstwa rolnego w pobliskim przysiółku, skąd przynosiłem bańkę świeżego mleka z porannego udoju. Kozę bowiem mama sprzedawała zaraz po przyjeździe do Jordanowa. Zakupiliśmy natomiast młodego barana. Nie trzeba go było wypasać, ponieważ trzymaliśmy go w zrujnowanym, betonowym basenie do garbowania skór i tam mu donosiłem świeżą trawę, jaką ścinałem sierpem na zboczach sąsiedniego jaru.

Na początku zimy ten gospodarz, do którego chodziłem po mleko, zabił naszego utuczonego barana i ściągnął z niego skórę na kozuch, dopłacając nam za nią sporo. Zaś mięso mama zapeklowała w kilku wiaderkach. Były potem smakowite pieczenie i szaszłyki przez całą zimę.

Do mnie należało jeszcze zbieranie gałęzi w lasku, rąbanie drewna na opał oraz przynoszenie wody z pompy, która była na podwórzu. Poza tym całymi dniami przebywałem samotnie w niedużym pokoiku na poddaszu. Tam miałem swe postanie, czytałem książki, uczyłem się i dużo rysowałem, malowałem obrazy i rzeźbiłem figurki w gipsie.

Otóż nasz współlokator p. Cwiertnia był zawodowym malarzem. Zajmował się renowacją starych malowideł oraz malował nowe obrazy w kościołach w całym regionie Podhala. Był bez jednego oka, stracił je w młodości w wypadku spowodowanym przez swego brata, który niechcący strzelił z dubeltówki. Nauczyłem się od niego profesjonalnego przygotowywania blejtramów na obrazy olejne, stosowania różnych rozpuszczalników, używania werniksu do zabezpieczania malowideł przed wpływami atmosferycznymi itp.

Nauczyłem się również wtedy malowania olejnymi farbami na szkle. Jest to znacznie trudniejsze od malowania na płótnie, bo nie można nakładać farby na siebie i korygować w ten sposób malowidło na bieżąco. Radziłem sobie w ten sposób, że stosowałem technikę witrażową. Oznaczałem na szkle kontury obrazu, zaś potem zakreślone płaszczyzny zamalowywałem odpowiednimi kolorami farb.

Po raz pierwszy też rzeźbiłem w gipsie, pomagając przy wykonywaniu figurek do dużej szopki świątecznej do jakiegoś kościoła. Robiliśmy odlewy z gipsu alabastrowego o gabarytach zbliżonych do kształtu figurek, potem rzeźbiło się je dłutem lub pincetą, gruntowało białą farbą podkładową i wreszcie malowało farbami olejnymi. Rzeźby robiliśmy najczęściej na podstawie fotografii albo rysunku



Moje olejne obrazy na dykcie

danej postaci. Trzeba było mieć do tego sporo wyobraźni. Wykonywałem też różne rysunki na własny użytek. Zdobyły one później mieszkanie mych rodziców.

Najwięcej czasu poświęcałem jednakże rysunkom ołówkowym, jakich wykonałem wówczas kilkadziesiąt sztuk, przeważnie niedużych rozmiarów, formatu A-4. Obrazki te rysowałem jako kilkakrotne powiększenia ilustracji z książek, znajdujących na stryżku. Między innymi powiększyłem około 30 ilustracji poematu Goethego „Herman und Dorothea”. Przeczytałem też, można powiedzieć przy okazji, kilka rozdziałów tej pięknej książki, napisanej oczywiście w języku niemieckim, a nawet nauczyłem się na pamięć dwóch stron poematu. Sporo też uczyłem się w tej mojej samotni i powtarzałem programy z posiadanych podręczników.



Nasi sąsiedzi, mama, siostra i ja

teorii dwóch wrogów Polski, którymi w równym stopniu są Niemcy i Rosja. Stąd organizację obowiązywała zasada „stania z bronią u nogi” i czekania na wynik wzajemnych zmagających wojennych obu przeciwników.

Dużym wydarzeniem był widok amerykańskich bombowców we wrześniu 1944 r. nad Jordanowem, lecących na pomoc walczącej Warszawie. Setki wielkich srebrzystych samolotów przeleciało wówczas wolno, na dużej wysokości, z jednostajnym łoskotem.

W okresie lata i jesieni 1944 r. szale wojny wyraźnie przechyliły się na stronę koalicji państw, walczących z państwami „Osi”. W dniu 6 czerwca dokonana została, długo zapowiadana, inwazja amerykańsko-angielska na plażach Normandii we Francji. W jej wyniku do końca sierpnia została oswobodzona spod niemieckiej okupacji cała Francja. Jesienią działania zbrojne na Zachodzie przeniesione zostały już do Belgii i Holandii, zaś na południu Sprzymierzeni opanowali całe środkowe Włochy.

W tym okresie Rosjanie przeprowadzili na froncie wschodnim kilka wielkich uderzeń, które przesunęły linie frontów o setki kilometrów na zachód. Czerwcową ofensywą przeciwko Finlandii spowodowała wkrótce jej kapitulację i opowiedzenie się po stronie Koalicji przeciwko Niemcom. Drugie uderzenie na północy miało na celu zajęcie Estonii i Łotwy.

Największa operacja, rozpoczęta w ostatnich dniach czerwca z rejonu Witebska, do końca sierpnia odsunęła Niemców aż do granic Prus Wschodnich. Zaś kolejne lipcowe natarcie od strony Tarnopola i Buczacza doprowadziło do zajęcia przez Armię Czerwoną terenów do Sanu i środkowej Wisły. Całkowitym zaskoczeniem dla Niemców była ofensywa rozpoczęta 20 sierpnia na kierunku bałkańskim. Zaowocowała opanowaniem przez Rosjan w ciągu kilku tygodni Rumunii oraz Bułgarii, w których nowe rządy wypowiedziały wojnę III Rzeszy. Od tego czasu Niemcom pozostał w Europie już tylko jeden sojusznik - Węgry.

Na tym tle absolutnym dysonansem było zbrojne powstanie w Warszawie, które wybuchło przeciwko Niemcom 1 sierpnia z rozkazu dowództwa Armii Krajowej. Powstanie upadło po dwóch miesiącach krwawych walk, podczas których zginęło bez mała 250 tysięcy mieszkańców naszej stolicy, zaś lewobrzeżna Warszawa decyzją Hitlera została prawie doszczętnie zniszczona.

W tym kontekście zasadnym stało się pytanie, jaki był właściwie cel Powstania wg inspiracji jego decydentów? Z biegiem lat padają różne odpowiedzi, często wzajem sobie przeczące. Chyba najprostszej, zarazem najtrafniejszej odpowiedzi udzielił pisarz-historyk Paweł Jasienica niewiele lat po wojnie: „Powstanie wymierzone było militarnie przeciw Niemcom, politycznie przeciwko ZSRR, zaś realnie przeciw narodowym interesom Polski i Polaków”.

Tyle, że Powstanie nie spowodowało poważniejszych problemów dla Niemców, gdyż do walk w mieście użyli oni brygady kryminalistów i własowców, nie odcinając z frontu żadnych poważniejszych jednostek Wehrmachtu. Nie miało też większego wpływu na organizowanie się ludowego rządu polskiego w Lublinie, ani na aktualne dobre stosunki pomiędzy rządami anglosaskimi i radzieckim. Ostatecznie jedynym ówczesnym konkretnym efektem akcji „Burza” w Warszawie była zagłada miasta przez Niemców i śmierć prawie ćwierci miliona jej mieszkańców.

W Jordanowie tymczasem nic szczególnego się nie działo. My też nie byliśmy niepokojeni przez jakieś rewizje, czy pisma urzędowe. W ogóle spokojnie było w całym regionie. Z perspektywy czasu można to wytłumaczyć liberalnym stosunkiem władz niemieckich do ludności Podhala. Niemcy starali się wmówić Góralom, że nie są Polakami, lecz stanowią odrębny naród Goralenvolk. Poza tym ten region, o słabym rolnictwie i pozbawiony przemysłu, nie przedstawiał większej wartości pod względem gospodarczym. Niemców interesowało jedynie wykorzystanie górskich kurortów na wypoczynek dla swych rannych, i utrudzonych rzemiosłem wojennym, żołnierzy.

Sytuacja zmieniła się znacznie w zimie 1944/45 r., kiedy na tereny Podhala przeniknęła i rozwinęła się partyzantka antyfaszystowska, gdy front wschodni był już na linii Wisłoki i Wisły. Wówczas pojawiło się wojsko niemieckie zwalczające oddziały partyzanckie. Doszło do szeregu krwawych pacyfikacji górskich wiosek, w wyniku czego ucierpiała znacznie miejscowa ludność. Najbliższa taka pacyfikacja miała miejsce we wsi Osielec, odległej około 10 kilometrów od Jordanowa, gdzie czołgami rozrywano schwytyanych partyzantów.

W dniach 12-13 stycznia 1945 r. ruszył wreszcie front znad Wisły. Rosjanie już 18 stycznia wyzwolili Kraków, zaraz po tym cały Górny Śląsk, ale na Podhalu dalej było spokojnie i cicho. Dopiero w pierwszych dniach lutego przeżyliśmy bardzo łagodne przejście piątego już frontu wojennego.

Odbłyło się to wczesną nocą, gdy my w trójkę, wraz z naszymi współlokatorami, przebywaliśmy w solidnej piwnicy domu znajomych na niedalekiej ulicy. Opuściliśmy nasz domek przy garbarni z prostego powodu podminowania przez wojsko, znajdującego się tuż obok, solidnego kamiennego mostu drogowego. Wszystkie rzeczy, wraz z kwaterami okiennymi, schowaliśmy w małej piwniczce. Ten most faktycznie został wyczorem wysadzony w powietrze.

Wcześniej miał miejsce nalot kilku radzieckich samolotów szturmowych na samochody i oddziały Niemców na Rynku. Jak potem mówiono, od bomb zginął wówczas cały ewakuujący się sztab dywizji niemieckiej. Potem słyszeliśmy warkot samochodów i tupot uciekających ulicą żołnierzy. Następnie nieliczne strzały karabinowe i armatnie, zaś za niedługo przed wejściem do piwnicy stanął młody żołnierz rosyjski z pepeszą i zapytaniem: „Germańców niet?”. Odpowiedzieliśmy, że nie ma, wskazując kierunek, w

którym uciekli. Mama od razu zagadała po rosyjsku, ktoś podał garnuszek z mlekiem, ktoś inny podsuwał mu jakąś kanapkę. Wojak wypił mleko jednym haustem, wytarł rękawem kożuszką usta, powiedział „nie!” kanapce i pobiegł za swymi towarzyszami broni. W ten nieskomplikowany sposób skończyła się właściwie dla mojej rodziny II wojna światowa.

Nazajutrz wróciliśmy do swego mieszkania. Drewniany budynek był cały, ale wyraźnie przechylił się w kierunku przeciwnym od mostu. Wszystkie dachówki wybuch zdmuchnął z dachu na poddasze i na podwórko.

Obok zniszczonego, kamiennego mostu, głęboko w jarze, grupa żołnierzy i cywili układała na potoku prowizoryczny mostek z bali drewnianych i wyrównywała oraz umacniała pniakami drzew zjazd z obu stron. Przy samym moście też już wykonywano jakieś prace, ale to było o wiele poważniejsze przedsięwzięcie. Wkrótce, kierujący robotami oficer zagarnął mnie również do układania umocnień na prowizorycznych dojazdach. Niewiele się przy tym napracowałem, bo mama wyperswadowała wojskowemu, że mam zreperować dach nad naszym mieszkaniem. Dał się przekonać i zabrałem się do naszego remontu.

Najpierw powyciągałem kwatery okienne z piwniczki i zawiesiłem w futrynach okiennych. Ani jedna szybka nie była stłuczona. Następnie w pojedynkę zabrałem się do dachu. Segregowałem na podwórku całe dachówki, składałem je w małe słupki, po drabinie wnosiłem na poddasze i potem, warstwa za warstwą, układałem na ołaczeniu, które nieznacznie tylko zostało uszkodzone. Na wieczór dach był już cały, a ja zmęczony, ale zadowolony z wykonania sporej, acz niezbędnej roboty.

Mama z siostrą w międzyczasie uprzątnęły starannie mieszkanie, rozpakowały rzeczy z waliz oraz koszy i znów mieszkaliśmy w przyzwoitych warunkach. Kolację zjedliśmy, goszcząc tego oficera od budowy mostu.

Z góry, z dachu, obserwowałem szybki postęp przy budowie prowizorycznej przeprawy i stałego mostu, oraz przejazd kolumny czołgów. Była dramatyczna chwila, gdy ciężki czołg zsunął się do jaru, zaś drugi wyciągał go potem, z potwornym rykiem, przy pomocy stalowych lin.

Za dzień-dwa front utknął gdzieś za Suchą Beskidzką. Kolejnej nocy zbudził nas tupot wojska, które maszerowało śpiesznie kolumnami, na całej szerokości drogi, w kierunku zachodnim. Domyśliliśmy się, że będzie wkrótce podjęta nowa ofensywa. Rzeczywiście, nazajutrz rozpętała się od strony Suchej armatnia kanonada, trwająca przez wiele godzin.

Już na następny dzień zobaczyliśmy idącą w naszym kierunku kolumnę kilkuset niemieckich jeńców, konwojowanych po bokach przez czerwonoarmistów. Jeńcy sprawiali bardzo nędzne wrażenie. Gdy skręcali przed naszym domem, mama ze schodów wejściowych zaczęła im rzucać kromki chleba, wcześniej szybko pokrajanego. Wielu z nich rzuciło się z wyciągniętymi rękoma w naszym kierunku. Zrobiło się spore zamieszanie i jeden z konwojentów oddał z automatu długą serię w powietrze. Mama krzyknęła wtedy „Eto tożę ludzi” i coś tam jeszcze do rosyjskich żołnierzy. Pojawił się wnet oficer, najwidoczniej dowodzący konwojem, i wydał rozkaz postoju.

Jeńcy obsiedli chmarą dużą skarpe przydrożną za garbarnią. Ja zacząłem przynosić im z podwórka, gdzie była pompa, wiadra z wodą, którą rozlewałem do podstawianych manierek i garnuszków. Pili zachłannie, coś tam przegryzając ze swych zapasów z chlebaków i zawiniątek. Natomiast czterech konwojentów zasiadło wokół stołu w kuchni i zajadali ze smakiem nasz obiad, jaki im mama serwowała, rozmawiali też ochoczo z nią po rosyjsku. Zrewanżowali się potem kilkoma amerykańskimi konserwami mięsnymi.

W międzyczasie mama ugotowała całe wiadro ziemniaków w łupinkach. Zaraz zaniósłem je jeńcom niemieckim, którzy prześcigali się w podziękowaniach, pałaszując

gorące kartofle razem z łupinami. Po przeszło godzinnym wypoczynku całe towarzystwo zebrało się i poszło dalej.

Front oddalił się aż do Żywca. Ja dopiero wtedy, po raz pierwszy, przeszedłem się po Jordanowie, zwiedzając to sympatyczne miasteczko. Szybko zniknęły niemieckie szyldy i napisy, w ich miejsce instalowano tylko polskojęzyczne nad sklepami i nowopowstającymi urzędami. Skorzystaliśmy też niezwłocznie z możliwości otrzymania po 500 nowych polskich złotych na osobę po okazaniu niemieckiej Kennkarty. W zamian wycinano z niej pieczęć z hitlerowskim orłem.

Zaczęliśmy się także wówczas przygotowywać do wyjazdu na swoje „śmieci” do Kępna w Poznańskim. Wpierw, jeszcze w lutym, wyjechała na rekonesans moja siostra. Stwierdziła, że nasz dom w Kępnie jest cały, odwiedziła rodzinę ojca w Kuźnicy Bobrowskiej i po wielu perypetiach wróciła do Jordanowa.

Po spakowaniu się, załatwieniu odpowiednich formalności i sprzedaniu pewnych rzeczy, pojechaliśmy wynajętą furmanką do Krakowa. Stamtąd zaś najbliższym pociągiem towarowym do Katowic. Jechaliśmy otwartym wagonem, na stercie stalowych rur. Za kilka godzin byliśmy w Katowicach, tam przesiadka do pociągu w kierunku Kępna. Musieliśmy przejść kilkoma ulicami przez miasto z dworca towarowego na osobowy. Był słoneczny, ciepły dzień. Spocilem się i umęczyłem bardzo, taszcząc kilka waliz, tobołów i rower na dodatek. Ulice wydawały mi się puste, żadnych gapiów w oknach, najwidoczniej wszyscy mieszkańcy byli w miejscach pracy. Minęła nas też długa kolumna wielkich „Studebakerów” amerykańskich, wiozących zaopatrzenie wojskowe na front.

Do Kępna dojechaliśmy wieczorem po prawie całodziennej podróży.